

HENRYK RZEWUSKI

SAWA : PAN BOROWSKI

(Z PAMIĄTEK JPANA SEWERYNA SOPLICY).

WYDANIE NOWE



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



884-3

SAWA.

Bez najmniejszej przesady wyznać można, że nie tylko doświadczeniem, ale pożyciem nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Bo szlachcic, choć najuboższy, był równy magnatowi; przy pomocy Boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego bywały przykłady), a tej równości z magnatem nie tracił, nawet służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży starodubowski, służąc u księcia wojewody wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaninem, potem dowódcą jego milicyi i jeneralnym plenipotentem; a przecie urządował Rzeczypospolitej, posłował na sejmach i został orderowym panem. A że był starożytnym szlachcicem, ożenił się z siostrzenicą księcia, panną Brzostowską, z tak wysokiego domu, i nikt się nie dziwił, że sam ksiązę wyprawiał wesela, bośmy wszyscy byli równi między sobą. Pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic był panem ubogim; że zaś pan był zawsze wysokim sługą Rzeczypospolitej, szlachcic, u niego służąc, służył razem i ojczyźnie.

Już dziś panów niema w Polsce, ani na Litwie, ale za to namnożyło się podpanków, co nie służąc ojczyźnie, nie z tego co boli, często nawet ani z soli ani z roli, ale z jakichś tam podradów, z nabytków niekoniecznie uczciwych, z handelków, z lichwy i podobnych szachrajstw, porobili sobie majątki znaczne; a że i dziadów swoich okazać nie mogą, tylko albo pod cudze szlachectwa podszycują się, albo wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okolski, ani nawet Niesiecki nie wiedzieli — więc krzyczą na możnowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów ani by dostąpił, i wynoszą pod niebiosy postęp teraźniejszego wieku. Nie wiem, kto w narodzie korzysta z tego postępu. Mieszczan, co nam wyrzucano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widać, tylko po dawnemu handlują sami Żydzi, lub gdzie indziej jaki Niemiec przybyły; a włościanowi nie równie gorzej. Na Litwie już bojarów zmusili do robocizny, a na Ukrainie zamiast dawnych dni letnich, co ich tylko po dwanaście na rok chłop odrabiał, pędzą go na pańszczyznę od nowego roku aż do świętego Sylwestra dzień po dniu. Pletą o prawach człowieka to, co pochwyтали z zagranicznych ksiązek, a nie wiedzą, że co tam jest w piśmie, u nas było w doświadczeniu, i dokładniej: bo to nasi przodkowie lepiej umieli tworzyć, niż zagraniczni potrafili wymyślić. Ale czyż tylko na równości zasadzały się zaszczyty i szczęście naszego szlachectwa? Szlachcie nie mógł być ani rządonym, ani sądzonym, tylko przez tego, kogo sam wybierał; a sam z zagrody swojej mógł się prze-

nieść i na ławicę poselską i na krzesło senatorskie i na tron nawet. To też nasi przodkowie krwią swoją tego zaszczytu dokupili się dla potomków. Hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach wstawiali, a sejmy za szlachtę ich przyznawały, i takich nazywano *ex charta belli*¹⁾. Stąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie od narodu dzieśięć dyplomów sekretnych dać na szlachectwo takim, co szlachtą nie byli (jak to widzieć w konstytucji 1766 r.), a pozwolenia tego nadużył, zamiast dzieśięciu może kilkuset uszlachcając, co sejmy były o to skargi i choć daremne ze strony posłów dopominania się, aby metryki koronne im okazywano. Bośmy składali stan rycerski i w samych dyplomach dodawane były zawsze te wyrazy: *praeciso scarta-bellatum*²⁾. Była wprowadzić przez czas niejaki konstytucja ubezpieczająca szlachectwo każdemu Żydowi, przyjmującemu wiarę katolicką: prawo pobożne, przeciw któremu nie godziło się sarkać, gdyż zgodne było z gorliwością narodu, chcącego wszelkimi środkami rozprzestrzeniać królestwo Boże na ziemi. Ale takowe szlache-

¹⁾ Uszlachcony *ex charta belli* — ten, co otrzymał papier z nadaniem szlachectwa: szlachcie nowokreowany.

²⁾ Sejm polski nadawał nobilitację (t. j. szlachectwo) bądź z zastrzeżeniem tak zwanego *scartabellatu*, bądź bez niego (*praeciso scartabellatu*). Uszlachcony bez zastrzeżenia *scartabellatu* stawał się równym w prawach szlachcicowi urodzonemu; uszlachcony zaś z zastrzeżeniem (t. j. *scartabellus*, *ścierczalka*) nie miał dostępu do sprawowania urzędów publicznych i dopiero w prawnukach nabywał praw szlachcica urodzonego.

ctwa nie były u nas poważne, bo zdawało się nam, że stan rycerski w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego porządku. Szlachectwo *ex charta belli*, choć świeże, było na równi z najdawniejszem poważane. Nie podszywano się dawniej pod cudze szlachectwa, ale prawnie onego dostępowano. Hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu mężów włościan, co się odznaczyli pod Kluszyńem, a sejm im wszystkim nadał przezwisko Żółkiewskich, tylko kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknienia familijnego zamieszania. Toż i Rewera Potocki, hetman wielki koronny, podał do klejnotu szlacheckiego wielu chłopów ukraińskich, co nie tylko że do buntu Chmielnickiego należeć nie chcieli, ale z nim razem krew za ojczyznę przelewali. Sejm potwierdził jego sprawiedliwe żądanie: stąd na Rusi powstali Jaroszyńscy, Sabatynowie, Ułaszyny, Santamany i inni, którzy bez niczyjego zgorszenia weszli w udzielną szlachecką, a z których ojczyzna miała potem uciechę. Dlatego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz jaki, przywłaszczwszy sobie szlachectwo nieprawnie, za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innych zasług, tylko że miał pieniądze. Więc też na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad, aby czy mieszczanin, czy popowicz, czy chłop zbiegły, mógł zostać jego sędzią, prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał *imparitatem*¹⁾, i gdy tego dowiódł,

¹⁾ zadawać *imparitatem* — zarzucać nieprawne używanie szlachectwa.

samozwaniec cały majątek utracił, który najczęściej *jure caduco*¹⁾ dostawał się temu, co go przekonał o nieprawie posiadanie zaszczytu nienależnego i tem uwolnił obywatelstwo swojego województwa od wielkiego zgorszenia; bo gdyby dowieść nie potrafił, sam byłby karany *poena talionis*²⁾. Młodzieży teraz o tem gadają, to słucha jakby o żelaznym wilku; albo ona rozumie, czem było nasze szlachectwo? Wie ona z historyi, że Jan Zamojski podpisał się: *Nobilis Polonus omnibus par*³⁾; a może o tem nie wie, że na Litwie jest kilkadziesiąt domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, chociaż mają do niego niezaprzeczone prawo. Nie tylko Ogińscy, ale Puzynowie, Świrscy, Mickiewicz, Wańkowicze, Mirscy, mają mitry w herbach i są prawdziwymi książętami, do czego nigdy przyznawać się nie chcieli, przez miłość równości szlacheckiej. A potem cóż księstwo prawdziwemu szlachcicowi mogło dodać? Jeszcze to nie najdawniej, kiedy książę de Ligne, panujący w Niemczech, ożenił był swojego syna z naszą księżniczką Massalską, starał się o *indygenat*⁴⁾ dla siebie na sejmie 1786 roku, i ledwo otrzymał ten zaszczyt z takimi trudnościami, że po-

¹⁾ *jus caducum*, *jure caduco*, znaczyło spadek bezdzietny i beztestamentowy; ale w mowie potocznej znaczyło: prawem kaduka (t. j. biesa, czarta, kata).

²⁾ *poena talionis* — kara za oszczerstwo i fałszywe oskarżenie.

³⁾ *Nobilis Polonus omnibus par* — szlachcic polski, równy wszystkim.

⁴⁾ *indygenat* — przyjęcie szlachcica cudzoziemskiego do szlachectwa polskiego.

wiedział publicznie: Łatwiej w Niemczech o udzielenie, niż w Polsce o szlachectwo! I dziwi się młodzień, iż ci sami, co długo trutynowali¹⁾, czy tak wielkiego męża, hetmana cesarza rzymskiego i księcia udzielnego przyjąć za szlachcica lub nie, obruszali się na jakiegoś rzeźnika albo bandażystę, co sam siebie nobilitując, deptał najkardynalniejsze prawo narodu! Zresztą doświadczenie przekonywa, że z ludzi podejrzanego szlachectwa nie wielka pociecha. Czytałem w podróży do Ukrainy zachodniej, przez pana Sakowicza wydanej, że w okolicach Machnówki obywatele tak są bezczelni, że jeden drugiemu psy i konie kradnie. Taka rzecz, dawniej po szlachcie niesłychana, mocno mnie była zastanowiła i temu wierzyć nie mogłem. Jakoż i teraz myślę, że trochę przesadził pan Sakowicz, ale już teraz miarkuję, skąd coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki, wojewoda kijowski, z wymysłu pańskiego zostawszy handlarzem, do swojego miasteczka Machnówki przywabił był na buchalteryę, do której szlachta nasza niezdatna, różnych przechrztów a popowiczów a mieszcuchów: tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. Ci ichmościowie, nazbierawszy grosza, szlachtą się porobili i już między siebie porozdzielali część dziedzictwa wojewody; a że zabór kraju zaraz nastąpił, to im uszło i *via facti*²⁾ utrzymali się przy szlachectwie: teraz ich synowie urzędują i nosy

¹⁾ trutynowali — zastanawiali się, namyślali się, obradowali.

²⁾ *via facti* — na mocy faktu dokonanego.

do góry zadzierają. I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiejże było za naszych czasów, kadukiem pozbyć się takiego śmiecia, niż, jak dziś, być niem obsypanymi? Chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma i od dziadów i naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. To też takich paskudztw o nas nie piszą. Tłómaczę więc jaśniej, dlaczegośmy nasze szlachectwo tak wysoko cenili; nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszej Rzeczypospolitej; a kto był jej zasłużonym, tem samem mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, nawet choćby się był urodził chłopem. I tego dowód przytoczę: pan Sawa, co się urodził prostym kozakiem, nobilitacyi nie miał¹⁾, a był marszałkiem zakroczymskim i w czasie Konfederacyi barskiej²⁾ zasiadał między pany.

Służyłem pod ś. p. panem Sawą i przy mnie Panu Bogu ducha oddał; a chociaż, nie chwając się, z dawnego rodu jestem szlachcicem (bo każdemu w metrykach koronnych³⁾ wolno odczytać, jak szęściu Sopliców podpisało się na elekcyi⁴⁾ króla Stefana), byłem mu posłusznym. A nie tylko ja i mnie podobni, ale JW. Potoccy, wojewodzie wołyńscy, byli pod nim regimentarzami i, chociaż magnaci całą gębą, drżeli przed nim. Razu jednego, gdy jeden z wojewodzców nie dość prędko dopełnił

¹⁾ nobilitacyi nie miał — nie został uszlachcony.

²⁾ Konfederacya barska — związek, utworzony w roku 1768 w Barze (w wojew. braclawskim) w celu oswobodzenia Polski od wpływu Rosyi.

³⁾ metryki koronne — archiwa królewskie.

⁴⁾ elekcyja — obiór króla.

jego rozkazu, przez co Drewiczowi udało się ująć prawie z rąk naszych, pan Sawa zaczął lajać wojewodzica i zagroził mu, że jeśli kiedykolwiek dopuści się podobnej opieszałości, to każe mu w łeb wypalić. To było wobec kilku panów, zapewne spokrewnionych z wojewodzie, a nikt nie powiedział: — A co ma kozak gnębić senatorskiego syna? — bo wszyscy mieli Sawę za równego sobie. Jakoż w istocie poświęceniem się swoim dla ojczyzny wyrównał on tym zasługom, które magnaci po przodkach odziedziczyli i przez które jedynie są magnatami.

Sawa urodził się w starostwie czechryńskim, skąd był i przeklęty zbrodzeń Chmielnicki¹⁾ (tak to z jednego drzewa może być i krzyż i motyka!); a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woronicz, wówczas starosta czechryński przywiozł go małym do Warszawy, i gdy go odumarł a Sawa podrośł, po dworach służył za kozaka; bandurkę rzucił a nawykł do innych zabaw: i spisą i szablą tego robił, na polowaniach z pistoletu ubijał, naszego języka się wyuczył i nasz obrządek przyjął; bo chociaż i pierw był katolikiem, jeno obrządku ruskiego, mając szlachetne serce, jak najmniej chciał się różnić od szlachty. W czasie siedmioletniej wojny w pułku Szybilskiego (prostego jak on włościanina) Fryderykowi pruskiemu służąc, taką sobie zjednał sławę,

¹⁾ Bohdan Chmielnicki, ataman kozacki, który w wieku XVII. wywołał bunt na Ukrainie przeciwko Polsce i stanął na czele zbuntowanego wojska kozackiego.

że tam los mógłby sobie być zapewnić. Ale stęskniwszy za ojczyzną, do niej wrócił, a jako nie-szlachcic nie mogąc się w komputowem wojsku umieścić, na nowo musiał po panach służyć. Kiedy się zaczęła Konfederacya barska, był wielki zjazd w Piotrkowie, na reasumpcyi¹⁾ trybunału. Mnóstwo było panów z licznymi pocztami; a że wielcy panowie prawie wszyscy mieli dobra na Rusi, do kilkuset kozaków zbrojnych przyprowadzili ze sobą. Sawa także się tam znajdował i wisiał przy dworze JW. Działyńskiego marszałka trybunału, a będąc sam kozakiem, łatwo się z kozakami porozumiał i tak koło nich pochodził, że jak na cztery tuzy w tryszaku²⁾, mógł na nich rachować. Kiedy pan Kwilecki, starosta kościański, marszałek konfederacyi, rozbił księcia Sołtykowa³⁾ pod Rozrażewem, Sawa, zebrawszy do półtrzecia sta kozaków na dobrych koniach, wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkał po drodze rejterującego się Sołtykowa, napadł na niego niespodziewanie, rozbił do reszty, zabrał mu armaty, samego wziął w niewolę i, złączywszy się z panem Kwileckim, z nim razem szedł do miasta. Ten wypadek rozszerzył konfederacyę po całej Wielkopolsce. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży i zaczęli maszerować ku Warszawie. Sawa upewniał, że sto-

¹⁾ reasumpcyja — otworzenie, t. j. rozpoczęcie czynności.

²⁾ tuz — najstarsza karta as; tryszak (czyli straszak) — hazardowna gra w karty; cztery tuzy w tryszaku — cztery asy w tryszaku.

³⁾ Sołtykow generał rosyjski.

lica dostanie się im w ręce, że gwardya koronna z nimi się złączy, a mając mieszczan po sobie, stojących tam Rosyan niemasz czego się obawiać. Gdyby posłuchano pana Sawę, inny kierunek rzeczyby wzięły. Doszedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość przez obywatela, co się do niego przedarł, że całe Kujawy i Płockie są gotowe do powstania, byle tylko jeden zbrojny konfederat im się pokazał. To go zdecydowało zaniechać Warszawę, której się prawie dotykał, a co prędzej dostać się na prawy brzeg Wisły.

— Nuż nam się nie uda opanować Warszawy — mówił Sawie. — Jeżeli porażeni zostaniem, co być może, bo ten tchórz Poniatowski¹⁾, co mógł, musiał zebrać na swoją obronę, natenczas cała konfederacya na Wielkopolsce przepadnie, której ledwo trzecia część powstała. Lepiej nam się wzmocnić w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero potem napewno pójść do Warszawy.

Napróżno Sawa ofiarował mu ze swoją przednią strażą napaść na stolicę, byle mu tylko pan Kwilecki stał w odwodzie, aby w przypadku do niego mógł się cofać; napróżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem i świeżem doniesieniem potwierdzał wszystkie wnioski Sawy o ducha stolicy i gwardyi — nic nie mogło przekonać pana Kwileckiego. Był on dobrym żołnierzem i w wojsku francuskim w młodości swojej

¹⁾ Król Stanisław August.

służył; ale na nieszczęście więcej wierzył w zagraniczne prawidła sztuki wojkowej, niżeli w instynkta polskie, a do tego popierał go w zdaniu Gawar, inżynier francuski, przy nim będący, w którym szczególną miał ufnosć. Ten, uzyskawszy dość więtości, iż przyczynił się do zwycięstwa pod Rozrazewem, nie mógł pojąć, jak można w trzy tysiące ludzi dobywać miasto wielkie, bronione przez 8000 żołnierzy. Z boleścią serca tedy Sawa musiał prowadzić przednią straż ku Wyszogrodowi, gdzie szczęśliwie przez Wisłę się przeprawili.

Pod pewnym względem niezupełnie pomylił się pan Kwilecki: bo jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły Konfederacyę. Oddzielił więc od siebie Sawę w trzysta koni, dał mu pod komendę pana Franciszka Dzierżanowskiego z częścią Mirowskich¹⁾ i kazał iść do Zakroczyńia, aby rozszerzać powstanie po Mazowszu, a sam poszedł do Płocka, dla poparcia wzrastającej Konfederacyi. Pan Dzierżanowski z początku chciał drzeć koty ze swoim dowódcą, jako szlachcie i oficer gwardyi z kozakiem; ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że lubo przy nadzwyczajnem męstwie był dość burzliwym, słuchał go jednak potem jak dziecko piastunki.

Mnóstwo młodzieży mazowieckiej do naszych się garnęło i zaciągało się pod znaki Sawy. Od nich

¹⁾ Mirowscy — dragoni utworzonego w r. 1717 regimentu »Gwardyi koronnej«; zwano ich tak od nazwiska starosty Miera, szefa tego regimentu.

dowiedział się, że w Zakroczymiu stoi batalion rosyjski i kilkuset Dońców. Rosyane widząc, że dąży ku miastu, wyszli naprzeciw niego, tem pewniejsi zwycięstwa, że silny oddział karabinierów przybył im w pomoc z Warszawy. Rozwinąwszy się przed Zakroczymiem, ledwo naszych zoczyli, dali ognia z armat a potem posunęli szparko naprzód swoją kawaleryę. Pan Sawa zalecił panu Dzierżanowskiemu cofać się przed kawaleryą rosyjską, a sam, zakryty jego obrotem, rzucił się na lewo, by napaść na piechotę, skoro się jazda oddali. Doskonale się udało. Pan Dzierżanowski, niby uciekając przed karabinierami i Dońcami, tak ich w pole wyprowadził, że pan Sawa miał czas pokazać się, jak piorun, pod samym Zakroczymiem. Jak go spostrzegła piechota rosyjska, uszykowała się w czworobok i sypnęła ognia; ale pan Sawa nie dał jej się poprawić: czworobok złamał, cztery armaty zabrał i cały batalion w pień wyciął. Opamiętała się dopiero jazda nieprzyjacielska na słuch wystrzałów, że się oddalili zanadto i wzięła się co prędzej do odwrotu. Chociaż pan Dzierżanowski już jej na karku siedział, w największym jednak porządku szła, myśląc, że do swojej piechoty się cofa. Wtem pan Sawa jak ją przywitał kartaczami z armat przez siebie zdobytych, wszystko się rozsypało: ten do lasa, ten do Sasa, a pan Dzierżanowski nabrał tego, ile sam chciał.

Po tak świetnem zwycięstwie wszedł pan Sawa do Zakroczymia, gdzie mnóstwo było obywateli uwięzionych po klasztorach, którym natychmiast

wrota otworzono. Liczne magazyny wpadły w jego ręce, a czego pan Sawa dla wojska nie użył, to rozdał między mieszkańców. I, nie tracąc czasu, zgromadził szlachtę, będącą w mieście, aby co prędzej sporządziła akt powstania. Tak się podniosła Konfederacya w Zakroczymiu, której marszałkiem Sawa jednomyślnie ogłoszony został, a regimentarzami obrani byli: Pan Potocki, wojewodzie wołyński, i pan Lelewel, burgrabia zakroczymski.

— Bójcie się Boga, panowie! — mówił Sawa. — Ja prosty kozak, jakże wam szlachcie mam marszałkować?

— Innego marszałka nie chcemy! — krzyknęła szlachta. — Pan Bóg i twoje zasługi namaściły cię polskim szlachcicem, nim sejm za takiego przyzna.

Przy tem nie byłem, ale tak o tem wiem, jakbym na to patrzył; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy i od pana Dzierżanowskiego i od p. Lelewela i od wielu innych, z którymi później służyłem, a każdego relacya na jedno godziła. Dość, że ta sama szlachta, co nie tylko urzędnika, ale wioski dzierżycyby nie pozwoliła nieszlachcicowi, marszałkiem swoim ogłosiła kozaka: bo nasza дума szlachecka nie była *ad destruendam sed ad aedificandam patriam*¹⁾. A sam widziałem jak inni marszałkowie, nawet i sam JW. Pac, co był nad nimi wszystkimi, obcowali z p. Sawą, jak z równym, i tyle go szanowali, że gdyby był wyniesiony nie tylko na marszałka, ale i na kasztelana krakowskiego, nikty z pocziwych przeciw temu

¹⁾ Nie do burzenia, lecz do budowania ojczyzny.

słowa nie powiedział: taki z niego był i wielki wojownik i godny obywatel. I ciągle się odtąd wstawiał marszałek zakroczymski; gdzie było największe niebezpieczeństwo, można było iść o zakład, że i on tam jest. A że ludzie obok niego i za nim padali, że kule ustawicznie robiły mu dziury w odzieniu, tak że zawsze łatany chodził a sam nigdy ranny nie był; Rusini, jako zabobonni, między jego kozakami urosło przekonanie, że on był charakternikiem, jak mówią na Ukrainie, to jest, że umiał kule zamawiać, aby go żadna trafić nie mogła. Od nich i do nas ta pogłoska się rozeszła; przyznaję, że i sam temu wierzyłem, a to mniemanie bardzo go obrażało: raz, że był dobrym katolikiem, powtóre, że, jako rycerz, miał sobie za krzywdę, gdy o nim myślano, jakoby dlatego na niebezpieczeństwa śmiało się narażał, że wiedział, iż mu się nic nie stanie; i nieraz byłem świadkiem, jak przeklinał swoje szczęście, co mu rany dostać nie pozwalało. Ale na biedę ojczyźnie i nam wszystkim przekonałem się, że on nie był charakternikiem. Bo kiedy pan Sawa później chciał jeszcze spróbować, czy mu się nie uda wziąć Warszawy, zebrał z różnych komend do tysiąca koni (i ja mu się wtedy dostałem); szliśmy lasami powiatu radomskiego, gdzie często po drodze udawało nam się gromić oddziały rosyjskie. Pod Jankowicami nawet Drewicza zbiliśmy i możebyśmy go samego żywcem schwytali, gdyby pan regimentarz Potocki nie był się o jedną godzinę spóźnił: wszelako wzięliśmy przeszło pięćdziesiąt

drewiczowskich huzarów, których wszystkich pan marszałek kazał zakłuć, pastwiono się nad nimi. Pan Sawa był ludzki i z niewolnikami rosyjskimi zawsze łagodnie się obchodził; ale że Drewicz wielkie okrucieństwa popełniał, żonom konfederatów piersi odrzynał, niewolnikom naszym skóry z ramion zdzierał, a robiąc niby wyloty wiszące, mówił, że im kontusze sprawuje, i podobne okrucieństwa wymyślał — więc pan Sawa dla żołnierzy pułku Drewicza równem okrucieństwem odpłacał. Poszliśmy dalej, zawsze dążąc do Warszawy, a Suwarow¹⁾, natenczas brygadyer rosyjski, na czele czterech tysięcy ludzi oddzielił się, by nas ścigać, i zastąpił nam drogę pod Mszczonowem. Sawa, choć nierówny w sile, odważył się pójść wstępny bojem. Mszczonów był w ręku Rosyan: wielki staw przedzielał ich od nas, a grobla długa prowadziła do miasteczka. Już część jazdy rosyjskiej przeszła była groblę i piechota zaczynała przez nią przechodzić i od naszej strony szykować się. Pan marszałek myślał napaść na jazdę, nim piechota przejdzie, aby, skrzydłem atakując, od grobli ją oderznął. Uszykował tedy do boju swe wojsko i pana wojewodzica wołyńskiego zostawiwszy w odwodzie z półtorasta końmi, na Rosyan uderzył. Dobrze się udało było, bo gdy uderzył, zaczęli pierzchać w nieporządku, i już byłby ich odciął, ale nad samą groblą na wzgórku stały armaty rosyjskie, które jak dały ognia, od

¹⁾ Suwarow — ten sam który później, w roku 1794 wziął szturmem Warszawę.

pierwszego wystrzału pan marszałek dostał kartaczem w udo i spadł z konia. Kozacy, co byli do niego jak do ojca przywiązani a mieli go za charakternika, widząc go rannym, bardzo się przelekli, jednak rzucili się ku niemu na ratunek. Skoro go podźwignięto, z największą przytomnością oddał dowództwo regimentarzowi zakroczymskiemu Lelewelowi, zalecając mu, by ścigał pierchającą jazdę rosyjską, a sam się kazał zanieść na rękach do karczmy, przy której stał wojewodzie wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczęliśmy obwiązywać, jak mogli, udo pana marszałka: poznać było po twarzy, że mocno cierpiał, jednak najmniejszego jęku nie wydał, tylko patrzył na komendę swoją, którą panu Lelewelowi porучzył. Ale ten jej rady dać nie mógł; bo jak spostrzegli ludzie, że już nie Sawa ich prowadzi, tak zaczęli pierzchać, że uciekający Rosyanie, opatrzywszy się, wrócili do szyku i pędzili naszych, a tu coraz więcej jazdy rosyjskiej przechodziło przez groblę. Pan Sawa, widząc, że dobrowolnie nasi się gubią, choć udręczony boleściami, chciał, by go na konia posadzono, ale nie mógł siedzieć. Kazał więc wynieść kołyskę z karczmy, przywiązać ją do dwóch najlepszych swoich koni, na których posadził doświadczonych kozaków, a samego siebie w nią włożyć, okręcić pasami i końce ich do terlic kozackich przymocować. Tak niewygodnie i niebezpiecznie wisząc w powietrzu między kozakami, wziął w rękę proporzec i prowadził nas do ataku. Opamiętał uciekających naszych żołnierzy, zawrócił ich z sobą i pomimo

najokropniejszych boleści dając niesłychany przykład męstwa, złamał szyk Rosyan i zmusił ich do ucieczki. Ale wszystko było zapóźno: już piechota rosyjska i armaty przeprawiły się przez groblę. Jak zaczęli ognia do nas dawać, sam pan Sawa pomiarkował, że niema nic do czynienia, tylko albo uciekać, albo doczekać się, że do jednego wszystkich nas wystrzelają. Lubo boleści jego coraz więcej się wzmagaly, że ledwo od rozumu nie odchodził, z największą przytomnością prowadził nasz odwrót przez Mszczonowską Wolę. Przedzielwszy się wsią od ścigającej nas jazdy rosyjskiej, która, dwa razy rozsypana, trzeci raz na karku nam siedziała, z dwóch stron razem kazał wioskę zapalić. Ponieważ wiatr był silny, wkrótce cała stanęła w płomieniach, i to wstrzymało czas jakiś Rosyan. Sawa rozdzielił swoje wojsko na dwie połowy. Dowództwo jednej oddał wojewodzie wołyńskiemu, a drugą porучzył p. Lelewelowi, nakazując im, najusilniej, aby każdy inną drogą cofał się ku krakowskiemu województwu i nigdy nie łączyli się z sobą; sam zaś z dwoma kozakami i ze mną, który go nie chciałem odstąpić, zostając na miejscu, pożegnał swoich i pocieszył przyrzeczeniem, że, jak tylko ranę wyleczy, znajdzie ich, gdziebykolwiek byli. Wszystkie konie zostawiliśmy przy komendzie, a pana marszałka piechotą na rękach naszych zanieśliśmy w głąb lasu i całą noc przepędziliśmy w krzewinach pod gołem niebem, ratując go jak było można. Coraz bardziej jednak upadał na siłach i czasem nawet

omdlewał. Nazajutrz rano, zawsze z drogim naszym ciężarem, puściliśmy się dalej w las na wolę Bożą. Błąkając się po lesie, trafiliśmy na chałupę, jak się potem okazało, podleśniczego mszczonowskiej puszczy, i oddawszy się Bogu, na oślep do chałupy weszliśmy: bo trzeba było koniecznie w spokojnem miejscu złożyć pana Sawę, inaczej byłby nam skonał w rękę. Podleśniczy okazał się pocziwym szlachcicem i wiernym ojczyźnie; bo, choć ubogi i obciążony dziećmi, ostatkiem się z nami dzielił. Mnie i kozaków poprzebierał za gajowych a własną pościel w zamkniętej komórcie oddał panu marszałkowi, którego podleśniczyna pielęgnowała. Potem sam w nocy wózkiem udał się do Mszczonowa, skąd przywiózł Żyda cyrulika. Ten opatrzył ranę pana Sawy: udo tak mu było spuchło, że wszystkó musieliśmy pruć na nim. Bolesci odnowiły się okropnie przy pierwszym opatrywaniu: już nie mógł wytrzymać, jęknął kilka razy a potem zemdlął, żeśmy go ledwo odtarli. Przyszedszy do siebie, powiedział nam: — A co? prawda, żeś nie charakternik — i pokazując swój szkaplerz, dodał: — Cały mój inkluz, innego nigdy nie miałem.

Umówił się cyrulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano; a szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska, której jako i jej mężowi powierzyliśmy, co za wielkiego człowieka mają w swoim domu, miała o nim staranie, jak o rodzonem ojcu. Dobrze nam szło przez tydzień: pan marszałek zaczynał przychodzić do siebie i, na jednej nodze skacząc, przenosił się już z łóżka do kufra pani

Kleczkowskiej, na którym siadywał, aby nie nadto zleniwieć. Cyrulik robił nam nadzieję, że za parę tygodni najdalej na koniu będzie mógł siedzieć. Ale w Mszczonowie stała komenda rosyjska: bo pan wojewodzie wołyński przed Suwarowem nie umknął i, w kilka dni po rozstaniu się naszym rozbity, dostał się do niewoli z mnóstwem ludzi, gdyż z trzechset przeszło żołnierza, co ich miał jeszcze, ledwo pięćdziesiąt uszło a resztę Rosyanie zabrali lub pobili. Otóż Suwarów, dowiedziawszy się od jeńców, że Sawa, ranny w mszczonowskiej potyczce, niewiadomo gdzie się podział, wnioskował sobie, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś niedaleko. A że jemu bardzo szło o to, aby go dostać, raz, że to był jeden z najdzielniejszych wodzów Konfederacyi, powtórze, że chciał na nim pomścić się wielu drewiczowskich huzarów, którym pan marszałek płacąc za ich okrucieństwa, kazał ręce i nosy poodrzynać — oddzielił więc od siebie pułkownika ze znacznym oddziałem, kazał mu stanąć w Mszczonowie i koniecznie pojmać Sawę.

Gdzie dyabelska robota, tam sam dyabeł pomaga. A że wojsko rosyjskie na dwie części się dzieli: połowa oficerów — żołnierze, a połowa szpiegi, i tych ostatnich większa wziętość i prędsze postąpienie, niż pierwszych (szpiegowskie rzemiosło przyszło u nich do wysokiego stopnia doskonałości!), dosłędzili przeto prędko, że cyrulik mszczonowski tajemnie co nocy gdzieś wyjeżdża. Łapią go i dopóty biją, aż się przyznaje, że w lesie opatruje jakiegoś rannego. Biorą Żyda, sadzą go na

koń, aby był ich przewodnikiem, i w czterdzieści koni za nim ruszają do leśnej chałupy. Otoczyli ją nagle, a kilku z nich wpadło do izby. Gospodyni im grzeczności robi, zapytuje, czy nie każą sobie czem poczęstować; ale oni, nic nie mówiąc, prędko przetrząsają wszystkie kąty, a postrzegłszy komorę zamkniętą, wysadzają drzwi i zastają pana Sawę siedzącego już z pistoletem w ręku. — Pierwszemu z was, co do mnie przystąpi, w łeb strzele! — zawołał Sawa. Oficer rosyjski cofnął się, lecz natychmiast kazał chałupę zapalić. Ja i dwaj kozacy wynieśliśmy z izby pana marszałka. Jak go ów oficer obaczył za domem, szyderskim tonem odezwał się do niego: — *A szto mospan! tieper kapitulujesz?* — Oto moja kapitulacja! — odpowiedział marszałek i pierś mu przeszył kulą. Tedy drugi oficer krzyknął: *Zakolijewo!* — My, choć bezbronni, ciałem naszym zaczęliśmy go zasłaniać; ale jak jeden Rosyanin urznął mnie szablą po łbie, krew mnie oblała i straciłem przytomność, a kilku na mnie padło z postronkami, i zaraz związany, ani ruszyć się nie mogłem. Pana marszałka bezbronnego i leżącego zaczęto kaleczyć niemilosierdzie. Jeden oficer, jak się pokazało, Polak w służbie rosyjskiej, bił go po głowie drzewcem od spisy; nasi dwaj kozacy, to widząc, gołemi rękami odepchnęli nikczemnika; ale on ich obydwóch zakłuć kazał, i obadwaj skonali tuż przy mnie, mając oczy na pana marszałka obrócone. Oficer od Dońców zgorszył się postępkami Polaka i sam zaczął zasłaniać naszego wodza, mówiąc: —

*Leżaszczawo nie bić*¹⁾ — przytem reflektował go, że jak żywcem przyprowadzi Sawę do jenerała, to prędzej dostanie krzyż, niż gdyby trupa przywiózł.

Na jednym wozie obu nas przewieziono do Mszczonowa: mnie skrępowanego, żem się ruszyć nie mógł, ze łbem obwiązanym, a pana Sawę kilkakrotnie pokłutego, z głową opuchłą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego wozu, który czwale konie ciągnęły, był dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pan marszałek musiał cierpieć! Jednak nie skarżył się, tylko całą drogę odmawiał psalmy pokutne tak przejmującym głosem, że chociaż temu lat pięćdziesiąt i więcej, ile razy mówię lub słyszę: *Miserere mei Deus secundum magnam misericordiam tuam*²⁾, zaraz mi staje przed oczyma nieboszczyk marszałek zakroczymski, łzami się zalewam. I teraz to pisząc, płacę.

Przywieźli nas do Mszczonowa, gdzie już miał komendę jenerał Otapow, Rosyanin rodowity, człowiek godny i pełen charakteru. Obszedł on się z nami bardzo po ludzku: do pana Sawy mówił z uszanowaniem i część kwatery swojej mu odstąpił, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Potem z błotem zmieszał oficera za barbarzyńskie z nami a szczególnie z marszałkiem postępowanie; swojemu felczerowi kazał rany nasze opatrywać

¹⁾ Leżącego nie bić.

²⁾ Zmiłuj się nade mną, Boże, wedle wielkiego miłosierdzia Twego.

i zapytał pana Sawę, czego żąda, oświadczając, że starać się będzie wszelkie jego rozkazy wypełnić. — Nie długo panu generałowi naprzykrzę się — odpowiedział Sawa — bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosiłbym o księdza. — Jakoż natychmiast wprowadzono proboszcza, który go wyspowiadał, dał mu ciało Pańskie i odmówił modlitwy, które za nim pan Sawa powtarzał bardzo przytomnie i tak wyraźnie, że nie mogłem do głowy sobie przypuścić, aby był blizkim śmierci. Potem zasnął cokolwiek, ale wkrótce się ocknął i powiedział mi: — Oto mam szkaplerz, w którym są zaszyte relikwie św. Wojciecha: jak skonam, zdejmiesz go, i zaklinam waćpana, byś go oddał p. Kazimierzowi Puławskiemu, staroście Wareckiemu¹⁾. Jeśli ci się uda kiedy z nim zobaczyć, powiedz mu, żem do śmierci był jego przyjacielem; a on niech ten szkaplerz nosi jako ostatnią ode mnie pamiątkę. I waćpan, panie Soplico, nie zapomnij o mojej duszy. — To powiedziawszy, zażądał wody, wziął do ust, ale już przełknąć nie mógł; coś zaczął mówić niewyraźnie, można tylko było dosłyszeć: Jezus, Marya, Józef — i zaczął konać. Nie pamiętam, co się ze mną działo, ale jednak wypełniłem jego rozkazy: szkaplerz zdjąłem i nosiłem na sercu, póki nie zobaczyłem się z starostą, co nie prędko nastąpiło; a odkąd mam kawał własnej ziemi, co rok egzekwie mu sprawuję. Nie długo po śmierci marszałka wyprawili mnie Rosyanie do Kazania

¹⁾ Kazimierz Puławski — słynny konfederat barski.

z JW. wojewodziecem wołyńskim i z innymi jeńcami; a Bóg świadek, że mniej czułem stratę wolności, niż że ojczyzna nie będzie się już cieszyć takim dzielnym i pocziwym synem, jakim był pan Sawa.

PAN BOROWSKI.

Pisałem o bandzie albeńskiej, a przyszło mi na myśl, że już nikt dziś nie wie, co znaczyła ta banda, do której tak się starano należeć, iż każdy miał sobie za wielki zaszczyt być jej członkiem. Książę Karol Radziwiłł, będąc jeszcze miecznikiem litewskim, utworzył ją w Albie, domu wiejskim z ogrodem, pod Nieświeżem. Pan Piszczalo, niegdyś księcia nauczyciel, trafiając w myśl jego, przepisy tej bandy ułożył. Patenta podpisywał książę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclerzem do śmierci był pan Ignacy Wołodkowicz, a sekretarzem pan Michał Rejten. Każdy człowiek w listach podpisywał się »radziwiłłowski przyjaciel«, a książę go nazywał »panie kochanku«. Że zaś zawsze ze swoimi albeńczykami obcował, to nazywanie »panie kochanku« zamieniło się u niego w przysłowie, które ustawicznie powtarzał. Mundur albeńczyków był barwy radziwiłłowskiej: kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie na to w Słucku robiony, srebrny, w orły czarne z trąbkami, spinka

z emalii błękitnej, na której z brylancików była cyfra z trzech liter: K. X. R. W tym mundurze trzeba było chodzić w Nieświeżu: a gdyby kto, nie mając patentu, ważył się gdziekolwiek ten mundur wdziać na siebie, mógł być pewien, że zostanie zmuszony go zrzucić. I tak pan Skirmunt, co był księcia ekonomem jeneralnym¹⁾ w Birżach, nie będąc do tego upoważnionym, ale zaufany w stopniu, który trzymał między sługami księcia, pokazał się raz w tym mundurze na licznej zgromadzeniu u pana Burby, cześnika rosieńskiego a rzędcy jeneralnego ekonomii szawelskiej. Ale na swoje nie-szczęście znalazł tam dwóch prawdziwych albeńczyków: pana Kazimierza Sołohuba, koniuszego nowogrodzkiego, i pana Jana Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych. Ci na niego napadli, mundur zdarli i jeszcze samego wyszturchali, lubo to było w uczciwym domu. Pan Skirmunt o to się żalił przed księciem; ale książę, nie tylko że przyznał słuszność panu Sołohubowi i Wierzejskiemu, ale nawet oddalił pana Skirmunta, bo sam ściśle przestrzegał ustaw zgromadzenia, którego był twórcą.

Żeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być: szlachcicem karmazynowym²⁾, osiadłego obywatela synem, tęgim do korda³⁾, dziel-

¹⁾ ekonom jeneralny — główny zarządca dóbr, administrator.

²⁾ szlachcic karmazynowy — starego rodu szlachcic; tylko takiemu wolno było używać żupanów barwy karmazynowej.

³⁾ kord — miecz prosty, krótki.

nym do konia, choćby najdzikszego, w sztuce łowieckiej doświadczonym i niepospolitej odwagi. Książę nie mógł nikogo patentować, jedno za wstawieniem się dwóch części całego towarzystwa. Obowiązki patentowanych były: stawić się na każde wezwanie księcia konno i w całym rynsztunku¹⁾, iść z nim dokąd ich poprowadzi, a nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawić za honor Najświętszej Panny, księcia wojewody, swój własny i każdego z członków towarzystwa. Były rozmaite przepisy dla tej szkoły prawdziwie bohaterskiej: w rzędzie innych ten, że dwaj albeńczycy, mający między sobą zajście, nie mogli się ciągać po jurysdykcyach²⁾, ale powinni byli rzecz kończyć u siebie, zdając się na jednego z kolegów, który w pewnych okolicznościach miał władzę dozwolić im nawet rozprawy na szable, jeśliby innego nie było sposobu do zgody. Z tego powodu zdarzył się zabawny wypadek w Nieświeżu, który szczególnie okazał dobroć księcia.

Razu jednego zjechało się kilku radziwiłłowskich przyjaciół w Samuelowie, u JW. Mikołaja Morawskiego, generała wojsk litewskich. Między nimi był pan Leon Borowski, od śmierci pana Wołodkiewicza najpoufalszy domownik księcia, i pan Bonifacy Sołohub, co to niegdyś pana Skirmunta wyszturczał. Pan Bonifacy strzelał nie potem, ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, bo

¹⁾ w całym rynsztunku — w całym uzbrojeniu woj-skowem.

²⁾ ciągać się po jurysdykcyach — procesować się, prawować w sądach.

był silny i nieustraszony. Miał on strzelbę dwururną angielską, nad jaką lepszej u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją wozil. Pan Leon, co nadzwyczajne miał oko, chciał jej koniecznie dostać i różne mu proponował facyendy. Ofiarował za nią cztery konie siwopstrokate, którymi przyjechał do Samuelowa; ale i to było napróżno, bo lubo pan Bonifacy do nich dość się palił, był twardy i ciągle go zbywał, powtarzając:

— Prędejsię z moją skórą niż z dubeltówką rozstanę.

— Na co ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz?

— Czy umiem, czy nie umiem, to nie twoja rzecz; a strzelby nie dam.

— A jużci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś.

— To szczęście, że ty nie jesteś łowczym wielkim litewskim, bo twój zarzut mógłby mnie obchodzić; ale wiem, że może strzelam tak dobrze, jak ty.

— Możesz tego dać dowód: niedaleko dworu jest knieja niewielka, ale dobra, obrzućmy ją siecią, mam sforę gończych z sobą, od których lepszych i w Nieświeżu nie znajdziesz, a cała psiarnia JW. generała jest na twoje usługi. Pójdźmy więc ze świtem do kniei, prócz ciebie nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierzynę, ja ci oddam moje cztery konie; a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się z swoją strzelbą.

— Zgoda! Ale zrobmy układ na piśmie i wręczmy go JW. generałowi; bo jak ubiję zwie-

rza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć: wszak my się nie od dnia wczorajszego znamy.

— Pisz, co ci się podoba, ja wszystko podpiszę, bo wiem, że ubijesz zwierza, jak ci na nosie chyba siedzie.

Wziął tedy pióro i papier pan Bonifacy i napisał: »Między w. Leonem Borowskim, komornikiem słonimskim, i w. Kazimierzem Sołohubem, koniuszym nowogrodzkim, zawiera się następująca umowa: Dnia N. N. do kniei samuelowskiej, sieciami obrzuconej, o piątej godzinie przed południem, z trzema sforami gończych psów, z których jeden jest w. Leona Borowskiego, a dwa drugich JW. Mikołaja Morawskiego, jenerałmajora W. księstwa litewskiego, gospodarza domu, i z jednym dojeżdżaczem na koniu, pójdą w. Kazimierz Sołohub, w. Leon Borowski i sam JW. gospodarz, oraz inni wymienieni goście, którzy udadzą się do kniei, aby w czasie mogli dać świadectwo. Nikt z sobą strzelby mieć nie będzie, oprócz w. Sołohuba, a ten w przeciągu najdalej trzech godzin winien będzie przynajmniej zwierza ubitego okazać. Jeżeli go okaże, cztery konie siwopstrokate wraz z uprzężą, którymi przyjechał do Samuelowa w. Borowski, będą temuż wyżej wzmiankowanemu w. Sołohubowi wydane, i żadnej pretensyi ani praw własności do nich rościć nie będzie w. Borowski; jeżeli zaś po upłynieniu trzech godzin, to jest o samej ósmej z rana, żadnego zwierza ubitego w. Sołohub nie okaże, natenczas strzelba angielska dwururkowa z napisem »Segalas London«, a która jest złożona

u JW. jenerała Morawskiego, zostanie wydana w. Borowskiemu. W. Sołohub, że do niej równie żadnego prawa sobie rościć nie będzie, zapewnia. A za zezwoleniem stron niżej podpisanych, JW. Mikołaj Morawski, jenerałmajor W. Ks. litewskiego, bierze na siebie obowiązek przeprowadzić ten dobrowolny opis do egzekucyi.

Podpisali się strony i świadkowie. A pan jenerał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził do jutrzejszego polowania.

Cały dzień pan Leon napastował pana Bonifacego różnymi żarcikami, ale pan Bonifacy fantazyi nie tracił i powtarzał:

— Obaczymy, kto wygra zakład!

Nazajutrz przed piątą jeszcze wszyscy już byli w kniei samuelowskiej, zwanej Kostki. Po niejakiem czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszystkich to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny, ciągnąc za ogon jednego z psów pana Borowskiego, którego dopiero przestrzelił, i odzywa się:

— Proszę o konie, ubilem zwierza!

— Jakto! — powiedział pan Leon — ty za psa mnie zapłacisz, a pokaż zająca, jeśli chcesz, aby konie były twoje.

— Przeczytaj opis, panie bracie, tam o zającu nie masz wzmianki, tylko o zwierzu; a spodziewam się, że pies zwierzę.

— Do kogo innego waćpan idź ze swojemi krotofilami, a ja pana jenerała proszę o strzelbę.

Pan jenerał na to:

— Odczytamy w domu opis; a gdy strony

mnie poruczyły onego dopełnienie, do niego stosować się będę.

Wrócili wszyscy do domu: pan Leon nie posiadając się ze złości, a pan Bonifacy za boki trzymając się od śmiechu. Przybywszy do domu, pan jenerał włożył okulary, przeczytał transakcję ¹⁾ i powiedział:

— Nie masz wyrażonego rodzaju zwierza, co miał być ubity; zatem wedle opisu w istocie pan Bonifacy wygrał zakład.

— Ja na to nigdy nie przystanę — odezwał się pan Leon — odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za zwierzę?

— A juźci nie ptak — rzekł pan Bonifacy. — Pożegnaj się z końmi, panie Leonie, a nadal w opisach twoich lepiej się pilnuj.

— Ty moich koni nie dotkniesz, a strzelba moja będzie, chyba Pana Boga niema na świecie. Jeżeli pan jenerał z własności mojej mnie wyzuje, mamy jurysdykcyę ²⁾, do nich się udam po sprawiedliwość. Prędzej cały majątek stracę, niż pozwolę, aby mię gubić błazeństwem.

— Nie strasz mnie ziemstwem ni grodem, bo my obydwa albeńczyki, a tobie wiadome nasze prawa, że musimy wszelkie zatargi między sobą sami ukończyć. Ja na żadne twoje pozwy nie stanę, błaznić się nie chcę; który z naszych niech nas sędzi, ja na każdego przystaję; najwłaściwiejby gospodarz sędził.

¹⁾ transakcyja — układ, umowa.

²⁾ jurysdykcyę — sądy.

— Z przeproszeniem JW. jenerała, jak się na niego zapiszę, to zasłużę, by mi szarą gęś przypięto. Pan jenerał przed wprowadzeniem sprawy już waćpanu słuszość przyznał; piękniebym wskórał w jego sądzie.

Na to pan jenerał: — Ja się nie ubiegam o to, bym wasze spory rozstrzygał; zapiszcie się na kogo chcecie, a ja zatrzymuję konie i strzelbę u siebie, i temu oddam, komu je dekret kompromisarski ¹⁾ przysądzi.

— Przystaję na to — odpowiedział pan Bonifacy — piszę się na kogo zechce pan Leon, byle na albeńczyka. Uważajcie panowie moją powolność; wygrawszy sprawę, poddaję ją pod sąd: bo wedle opisu rzecz skończona i mam niezaprzeczone prawo do koni jak i do strzelby.

— To w. pan tak sobie tłómaczysz interes; ale obaczymy, co inni powiedzą. Jeżeli ci, co psy biją, mają się nazywać myśliwymi, to moje konie przepadną.

— Ja o waćpana przycinki nie stoję. Całe życie przywykłeś z drugich żartować, to waćpanu teraz nieznośnie, że z samego zażartowano. Ale tu idzie o rozstrzygnięcie rzeczy, kto ma nas sędzić?

— Ja na samego księcia wojewodę się zdaję.

— Zgoda, niech naczelnik nas sędzi. JW. jenerał miał dziś do Nieświeża jechać; jedźmy z nim i tam kończmy; JW. jenerał nie zapomni zawieźć z sobą naszego opisu. A patrz, panie Leonie, jak

¹⁾ dekret kompromisarski — wyrok sądu polubownego.

sprawa ze mną łatwa: że już ty bez koni, ofiaruje ci miejsce na mojej bryczce.

— Nie doczekasz nigdy, abym z twojej łaski miał korzystać; wolę iść piechotą, niż siedzieć na wacpana powozie. Ja choć lubię żartować, ale bez cudzej krzywdy, a w. pan po moją własność sięgasz. Wstydzilibyś się z taką sprawą przed księciem występować; śmiechu tylko z siebie narobisz. Trzymaj już nareszcie strzelbę, ale dla Boga, odszcep się moich koni.

— O! prawda, jaki pan mądry! Tylko że nie wzmówisz we mnie, bym odstąpił od mojego; sam się wstydzić będziesz w Nieświeżu za swój upór, i że, będąc komornikiem, dałeś się złapać w opisie przez takiego, co nigdy nie był w palestrze ¹⁾. A kiedy nie pojmujesz mojej grzeczności, to mniejsza; idź sobie piechotą, kiedy chcesz.

Pan Leon nic nie odpowiedział, a widząc, że wszyscy w tym interesie sprzyjali panu Bonifacemu, tak się rozżłościł, że od nikogo miejsca przyjąć nie chciał w powozie, choć mu je każdy uprzemie ofiarował; ale u arendarza podwodę najął i sam jeden puścił się do Nieświeża, a co gorsza dla niego, że wszyscy się śmiali do rozpuku. Zjechawszy się w Nieświeżu, opowiedziały strony interes księciu, prosząc go, aby chciał zostać superarbitrem ²⁾. Na to książę:

— Dobrze, podejmuję się tego; jedźcież więc

¹⁾ palestra — korporacja obrończa.

²⁾ superarbitr — rozjemca, sędzia polubowny.

do Nowogródka i wracajcie z przyznaną inskrypcją ¹⁾, a ja rozsądzę.

Zaczęto ją pisać: pan Leon chciał koniecznie, by w niej domieszczone, że książę wojewoda wileński będzie sądził rzecz, wypływającą z komplancji ²⁾ w Samuelowie zawartej, tłómacząc wyrazy wedle ich znaczenia powszechnie przyjętego. Ale pan Bonifacy temu się oparł, sprawiedliwie wnosząc, że takie informacye w inskrypcji byłyby pewną nauką ubocznie księciu daną, przeciwną delikatności winnej tak wielkiemu mężowi; i kiedy książę podejmuje się sądzić sprawę, to może być tylko sędzią bezwarunkowym i strony wszelką ufność powinny w nim położyć. Dał się przekonać pan Leon, bo w tem jednomyślnie wszyscy przytomni przyznali słuszność panu Bonifacemu. Pojechali więc z inskrypcją do Nowogródka, ale każdy osobno; bo pan Leon tak był rozjątrzony na pana Bonifacego, że mówić z nim nie chciał, a cóż dopiero obok niego w pojeździe siedzieć. Pojechali więc, przyznali inskrypcję przed grodem i nazajutrz wrócili do Nieświeża z wszelką gotowością. Książę zapisał akt sądu kompromisarskiego i kazał sprawę wprowadzić. A że był biegłym w sądownictwie, pomiarkował, iż strony, będąc na sobie bardzo zawzięte, nie mogłyby tłómaczyć swojej rzeczy bez wzajemnych uraz, po których, jako ludzie odważni i zuchwali, skończyliby na gorszem. Książę, że ich obydwóch lubił, a chciał między

¹⁾ inskrypcja — umowa.

²⁾ komplancja — ugoda.

swoimi albeńczykami ile możności jedność zachować, nie pozwolił żadnemu z nich ani słowa wyrzec przed ogłoszeniem dekretu i naznaczył kary po trzysta złotych na rzecz bonifratów nowogrodzkich za każde odezwanie się tak jednej jako i drugiej strony. Z tego powodu obligował mnie pan Leon, abym od niego stawał. Pana Bonifacego obrońcą był Jerzy Plaskowski, krajczy starodubski, jeden z albeńczyków szczególnie szacowanych od księcia. On to, w czasie bezkrólewia zastępując miejsce rejenta aktowego w Nowogródku, przyjął przeszło sześćdziesiąt manifestów od obywateli, żalących się na konfederację jeneralną, lubo ta konfederacja pod karą *abjudicationis ab omni activitate*¹⁾ zabroniła kancelaryom przyjmować wszelkich manifestów przeciw jej czynnościom. Za to został uwięziony i przez rosyjską komendę prowadzony Bóg wie dokąd; ale szczęściem, nie dochodząc do Świerznia, pan Aleksander Odyniec napadł na komendę, rozsypał ją i uwolnił pana Plaskowieckiego, który kilka lat po Prusiech musiał się tulać. Dopiero Konfederacja radomska zdjęła dekret *abjudicationis* i banicyi, na niego przez kaptur²⁾ nowogrodzki ferowany; a dla większego dowodu, iż mu się *activitas* wróciła, król Stanisław dał mu przywilej na krajczostwo starodubskie.

Każda strona na żądanie księcia dodała po

¹⁾ odsądzenie od wszelkiej czynności t. j. zawieszenia w czynności (łac.).

²⁾ kaptur — sąd kapturowy, sądzący w czasie bezkrólewia sprawy kryminalne i wykroczenia przeciw spokojności i bezpieczeństwu publicznemu.

jednym arbitrze¹⁾, *cum voce consultativa*²⁾). Od pana Leona zasiadł pan Michał Rejten, pisarz ziemski nowogrodzki, a pan Bonifacy uprosił p. Józefa Radziszewskiego, chorążego starodubskiego. Wprowadzenie sprawy, indukta³⁾, repliki⁴⁾, wysłuchanie świadków, trwały dni dwa, po których upłynieniu książę ogłosił dekret, przysadzający cztery konie wraz z uprzężą panu Bonifacemu Sołohubowi; a stosując się do konstytucyi 1764 r., za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego dobrowolnemu opisowi, uwolnił go od więzy, ale kazał mu zapłacić grzywien około dwóchset złotych na rzecz pana Bonifacego, z których potrącił ośmdziesiąt złotych na bonifikację szkody jego, poniesionej w pie gończym, zastrzelonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon, gdy czytano dekret, pobladł, wargi mu się trzęsły i, nie podziękowawszy księciu, w niepohamowanym gniewie natychmiast wyjechał z Nieświeża. Przybywszy do Niehoreły, dzierżawy, którą z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał list do księcia pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość i odsyłając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należeć przestaje, nie chcąc mieć dłużej nad sobą naczelnika tak parcyalnego⁵⁾ w sądzeniu. Dodał przytem, że nieprawemu wyrokowi nigdy nie ulegnie; że, jako wolny szlachcic, będzie szukał sprawiedliwości po

¹⁾ arbiter (łac.) — rozjemca, sędzia polubowny.

²⁾ z głosem doradczym (łac.).

³⁾ indukt (łac.) — wywód sprawy.

⁴⁾ replika (łac.) — obrona.

⁵⁾ stronniczego.

sądach szlacheckich, nie znajdując jej w kaprysach pańskich, i inne dotkliwie rzeczy. Książę, gdy odebrał list, głośno kazał go odczytać. Myśmy potruchleli na taką zapamiętałość pana Leona względem swego dobroczyńcy; ale książę, zamiast coby się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpuku, mówiąc:

— Panie kochany, coś pan Leon bardzo się rozchimerował, jednak jakoś da się przeprosić.

Tu nie koniec. Pan Leon, wyraźnie jakby do niego coś przystąpiło, zaczął ciągać księcia po sądach, usiłując wszędzie zwalić kompromisarski dekret, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do Rady nieustającej. Dopiero książę się obraził, bo tej jurysdykcji nienawidził i opierał się, co miał siły, jej ustanowieniu: był albowiem przekonany, że ona jest niezgodną z wolnością obywatelską, z niezawisłością władz sądowniczych i z powagą sejmów. Istotnie, jakąż może być udziałność sejmowa w tworzeniu praw, skoro jest magistratura, tłómacząca też same prawa? Pan Leon nie zgola nie wskórał, bo Rada nieustająca odmówiła mu uchylenia dekretu, tem więcej, że wówczas jej marszałkiem był JW. Jelski, podkomorzy smoleński, mąż światły i znający, że w narodzie żadna władza nie jest w prawie naruszyć świętości kompromisu; a książę, do najwyższego stopnia obrażony, zaawizował pana Leona o wykupno Niehorely i, złożywszy sumę przed aktami, odebrał na siebie majątek, więcej rocznego dochodu przynoszący, niżeli wynosiła cała kwota zastawą na nim

oparta. Nadto jeszcze się odgrażał że na tem nie poprzestanie, i kilkakrotnie prawie codzień przed nami powtarzał:

— Panie kochanku, nie mam ani przyjaciół, ani sług wiernych. Pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmie. Kto mnie szczerze kochał, już nie żyje. Gdyby żył Zawisza, lub Wazgird, lub Bohuszewicz, dawnoby pan Borowski poznał, co to jest Radziwiłła krzywdzić; a cóż dopiero, gdyby Ignacy Wołodkiewicz zmartwychpowstał! Wszyscy albeńczycy moje folwarki za bezcen trzymają; słudzy się panoszą, i to całe ich przywiązanie.

Te słowa wnętrzości nam przeszywały jakby nożem, bośmy i pana Leona szczerze kochali, pomimo jego dziwactw. On, będąc w największych względach u księcia, nie tylko że żadnemu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszem każdemu pomagał, za każdym mówił i prosił, tylko za sobą nigdy. Z drugiej strony nasze obowiązki dla księcia były święte: my chleb jego jedli i smaczny; i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, radzi nie radzi musieliśmy się z nim rozprawić, bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba. Przyjaciele tedy i słudzy księcia, zrobiliśmy między sobą jakby jaki sejm, aby jakoś tak rzeczy pogodzić, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, ani względem przywiązania i wdzięczności dla naszego księcia, ani względem przyjaźni, którąśmy dochowywali panu Leonowi. A że pan Jerzy Płaskowski był między nami mężem wielkiej powagi, jedynym do rady,

wielki kunktator ¹⁾ i który miał przewagę nad nami wszystkimi i nad samym panem Leonem, dawszy tyle dowodów i wielkiego światła i wielkiego charakteru, uprosiliśmy go, by się do niego udał i wmówił mu: aby się ukorzył przed księciem, jak sama słusność tego wymagała po nim, a nie czekał, aż my, pomimo, że go kochamy, zmuszeni zostaniemy, chociaż z boleścią serca, zadość uczynić naszej powinności, jak tego bywały przykłady; bo książę, lubo z uniesieniem wyrzucał nam, żeśmy na jego sławę byli obojętni, w duchu dobrze wiedział, że nie tak rzeczy się miały; i niedawno był odebrał dowód, ile jego przyjaciele i słudzy byli do niego przywiązani. Kiedy książę Michał Radziwiłł, wówczas kasztelan wileński, mając sprawę z księciem wojewodą, sprowadził był na niego aż z Poznania sławnego mecenasa, pana Raczyńskiego, co go dobrze w Wilnie pamiętają, bo chodził po niemiecku z ogromną upudrowaną fryzurą i z kolczykiem przy lewym uchu; to gdy on mecenas przeciw naszemu księciu w indukcie wystąpił z leżami ²⁾ w przytomności kilku albeńczyków, ci to na pozór obojętnie przyjęli. Ale dwóch dni nie upłynęło, kiedy książę kasztelan z panem Raczyńskim wyjechali na kawę do Pohulanki, gdzie już trybunałska jurysdykcya nie dochodziła; pan Paweł Uzłowski i pan Bazyli Czeczot, oba albeńczyki i nowogrodzanie, z kilku sługami księcia wojewody

¹⁾ kunktator (łac.) — działający zwolna, po długim namyśle.

²⁾ leża (łac.) — obraza.

tam wpadli i w obliczu księcia kasztelana jego umocowanemu sto batogów odliczyli po niemieckich pludrach. Książę kasztelan tak się przeląkł, by i jemu samemu się nie dostało, że w Wilnie kilka niedziel obłożnie chorował; a pan Raczyński, wyležawszy się parę dni, po cichu, że go świat nie widział, wrócił do Wielkopolski ze swoim nadspodziewanem honorarium. Książę wojewoda umiał ocenić dowód poświęcenia, aby był nieco markotny, iż z jego powodu chybiło się gościnności na Liwie względem brata wielkopolanina, i to wymawiał; a pan Ciwun Rupejko jeszcze nas wszystkich i samego księcia rozśmieszył, tłumacząc się, że wedle praw naszych *in loco delicti* ¹⁾ każdy powinien być karany. Kiedy więc nie oglądano się na JO. księcia kasztelana, wysokiego senatora i imiennika naszego księcia, czegożby się nadal mógł spodziewać pan Leon? Jednak widać było po księciu, że w duchu taki tęsknił za panem Leonem; bo choć się na niego odgraża, bywało póki trzeźwy, jak się podochoci, przez zapomnienie często go wspomina w dobry sposób; a wysapawszy się, znowu się odgraża.

Pan Jerzy znalazł pana Leona w Słonimie, gdzie on był komornikiem, i zastał go ledwo nie w czarnej melancholii.

— Patrz, panie krajczy — powiedział mu, przywitawszy go — gdzie mnie czart zapędził! Dwudziestoletnie zasługi dyabli wzięli, piękny majątek utraciłem i jeszcze wcześniej czy później po skórze

¹⁾ na miejscu przestępstwa (łac.).

dostanę: nic nie brakuje, tylko tego. Czemże pana przyjmę? Mam pół garnca wódki starej i tem cię traktować będę, bo niema z czego. Patrz! — dał mu, wytrząsnawszy sakiewkę, z której wypadła złotówka i kilka srebrnych groszy — oto cały mój majątek, a wszystkie moje pasy lite zastawione po Żydach się walają. Dało mi się we znaki polowanie samuelowskie! Ale sam znam, że się nie popisał. Wstyd mi. W Warszawie, chodząc jak chłystek koło Rady nieustającej za moim głupim interesem, którego nie mogłem nie przegrać, chociażbym i królewskim był bratem, takem się był odłużył, że z miastaby mnie nie wypuszczono, gdyby pocziwy Sołohub nie był przysłał przez Tatara trzech tysięcy z listem, w którym wyraża, że nigdy nie przestanie ubolewać, iż jest przyczyną moich dolegliwości. Jakem wpadł w niełaskę u księcia, to ode mnie stronią, jak od zapowietrzonego. Bóg ci odplaci, żeś o mnie nie zapomniał.

I, nalawszy kielich wódki, wypił do pana Jerzego. Wypił i pan Jerzy.

— Co myślisz z sobą robić, panie komorniku?

— Albo ja wiem, co będzie dalej! Teraz przyjacielskie oblicze mi zabłysło, tego dawno nie było, więc zmartwieniom zrobi się przerwa, jest przynajmniej z kim wypić: na frasunek dobry trunek; wac pana, panie krajczy!

— A cóż to, panie Leonie, czyż z desperacyi gorzałką już się rozpiłeś?

— Kto, ja? jakem sodalis, wodę jak kaczką piję. Albo mam za co i z kim pić? Wiesz, skąd u mnie ta wódka? Oto wczoraj tydzień się skończył,

jak ona nienaruszona stoi w tej flaszy. Przybył do mnie szlachcic z zaścianka Raców... Wszak musisz znać okolicę Raców pod Nowogrodkiem?

— A dla Boga!

— Nieborakowi parę koni ukradziono; opytem trafiał za nimi do Słonima, gdzie je znalazł u Fejbisza, pierwszego kupca tutejszego. Nie mając tu prócz mnie znajomego, bom nieraz na słomki w jego okolicy chodził, do mnie się udał i garniec starej wódki mi przywiózł, prosząc o pomoc. To z nim razem część jego wódki wypilem a potem biedakowi wykierowałem interes. Fajbisza nastraszyłem grodem, ale tak, że żydzisko nie tylko że konie oddał, choć je w dobrej wierze kupił, ale jeszcze dwadzieścia złotych nawiazki mu odliczył za ekspens¹⁾ podróży. Cóż to, panie Jerzy, nie pozwalasz, bym do ciebie wypił?

— Ale, kochany panie Leonie, jabym truciznę gotów z tobą pić; ale wołałbym wina kieliszek.

— To już wyraźnie natrząsas się ze mnie. Gadać o winie takiemu, co dwa złote niespełna ma przy duszy! Minęły te czasy, kiedy pan Leon z nieborelskiej piwnicy laskawych przyjaciół częstował: teraz czem bogat, tem rad.

— Ja ci pożyczę pieniędzy.

— Dziękuję, łaskawy przyjacielu; a gdzie *piagnus respõnsionis!*²⁾ Wszak wiesz, że sumka, którą miałem na Niehorele, jest nieboszczki mojej żony: leży ona teraz w aktach nowogrodzkich bez po-

¹⁾ wydatek;

²⁾ zastaw na pewność (łac.).

żytku dla mnie; a czterdzieści tysięcy moich własnych, co mi się zostały z krwawej pracy mojej, siadły makiem u pana Łopota: od trzech lat ani kapitału ani procentu nie widzę. Ja je mam za przepadle.

— Co za nowa desperacya!

— Albo to ja pozywać się będę kiedykolwiek? Dał mi się już proceder we znaki. Żeby mnie kto teraz nawet *imparitatem*¹⁾ zadał, tobym się nie bronił. Dziękuję ci, panie Jerzy, ale twojej ofiary nie przyjmę.

— Panie Leonie, porzuciłbyś bluźnić; wszak wiesz, że nie uchodzę za takiego, co swoją pracę w błoto rzuca. Kiedy ci chcę pieniądze powierzyć, to widno, że muszę upatrywać jaką pewność dla siebie. Oto masz w tym ładunku sto czerwonych złotych: wykup, coś pozostawiał, potraktuj mnie dobrem winem, jeśliś mi rad, a pieniądze wrócisz mi w Nieświeżu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Ja w Nieświeżu! Wątpię, panie krajczy, żebyś za dobrą ewikcyę²⁾ swoich stu czerwonych złotych przyjął monetę, która dla mnie przygotowana w Nieświeżu, a która — dodał z głębokiem westchnieniem — i tu nakoniec mnie znajdzie.

— Co mamy na sucho rozprawiać; bierz pieniądze, poślij po wino, napisz mi dokumencik, a przy kielichu i uradzim i uradujem się.

¹⁾ nierówność szlachecką t. j. nieprawne używanie szlachectwa (łac.).

²⁾ ubezpieczenie (z łac.).

— Toć to i Bóg i ludzie wiedzą, że masz więcej rozumu, niż ja: zrobie, co każesz.

Odliczył pieniądze pan Leon i swego chłopca posłał do winiarni, dając mu czerwony złoty i mówiąc:

— Ruszaj do Malgosi, połóż jej w ręce, co ci daję, żeby mi przysłała przez ciebie garniec tego wina, co po oficjale świętochowskim dostała.

Sama nadzieja, że będzie traktował gości, i jeszcze tem dobrem winem, rozweseliła pana Leona. On, co był najgościnniejszym z ludzi, odzyskał teraz humor, jaki zwykle miał, będąc jeszcze wyrocznią nieświeską.

Przynieśli wino: zasiedli obaj przyjaciele; pan Leon dokument napisał, odczytał go z powagą pan krajczy i, porządnie złożywszy, schował w zana-drze. Kielichem zaczęli się bawić. Opowiadał różne dykteryjki pan Leon, tak dowcipnie, że nie tylko garniec, ale i dziesięć możeby się niepostrzeżenie wypróżniło, tak miło czas schodził. Ale gdy przyszło do interesu, to jest jaką furtką trafić do księcia, to nad tem zaczęły się suszyć umysły. Rozmaite środki podawał pan Jerzy, a pan Leon zawsze odpowiadał:

— Ja na to się nie odważę. Znam księcia pierwszy impet: każe mnie na śmierć obatożyć, jak mu się pokażę, i nie jelen, ale pan Leon *personalliter*¹⁾ weźmie w skórę: i, między nami, wart tego. Nieraz sam sobie chcę dać po skórze, a onby mnie miał żalować? Nadto mu się naraziłem! On pocz-

¹⁾ osobiście (łac.).

ciwe ma serce, ale mój postępek był tak nieroztropny, tak niewdzięczny, tak zapamiętały, że i świętej pamięci księciu Sierotce byłbym się naprzykrzył; a dopiero jemu niemasz rady, on wszelkie do mnie przywiązanie utracił.

— Otóż wiesz co, panie Leonie? On ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyby żelazne łamie; ale jak tylko się podchmieli, ciebie szuka i, przymrużywszy oczy, mruczy, nalewając kielich: »Do ciebie, panie Leonie!«

— Co powiadasz?

— Bóg świadkiem, że kilka razy to było przy mnie. Cały dwór za tobą tęskni: raz, że ktoby cię nie kochał, wilcze miałby serce; powtóre, że niema komu za tym lub owym do księcia w interesie się wstawić. Książd Kantembryng, co tylko sumienia książęcego się nie tyczy, do tego się nie miesza i za rodzonym ojcem słówka nie powie. Pan Mikołaj Morawski, rad, że mu się udaje nieraz księcia z błotem zmieszać, jak ten go zniecierpliwi, na tem poprzestaje, i ni za sobą, ni za nikim, jak wiesz, nigdy się nie odezwał, i radby księcia do oszczędności, niż do wspaniałomyślności nakłonić. Ile razy książę czem grubem kogo obdarzył, to on mówi: »Za-za-zapłać twoje dłu-długi, a do-do-do-piero bądź wspaniałym«. Pan Michał Rejten, który u niego coby chciał wyprosił, a pięciu dyabłów się nie złąknie, przed nim ust nie śmie otworzyć; a prócz tych trzech, nikomuby i nie bardzo uszło być z księciem zbyt śmiałym. Po tobie tęsknimy wszyscy, i jeżeli ci prawdę mam powiedzieć, bo ty

wiesz, że *in vino veritas*¹⁾, cała alba mnie do ciebie, panie Leonie, wysłała w delegacyi²⁾, abym ciebie jakoś przywabił do przeproszenia księcia; bo wszyscy radzi mieć po dawnemu twoje plecy za sobą w Nieświeżu, a nie być zmuszonymi gdzieś tobie drogę poniewolnie zastąpić.

— Tam do dyabła! kiedy tak się rzeczy mają, będę w Nieświeżu.

— Kiedy?

— Najdalej za tydzień. JW. Plater, kasztelanic trocki, w przyszłym tygodniu żeni się z panną Rzewuską, chorążyną litewską, siostrzenicą księcia, więc pójdę do Nieświeża na wesele.

— Takoż ci przystąpiło coś nowego do głowy, taki dzień wybierać! Nieproszonemu na wesele się pokazać?

— Albo ja sam nie potrafię się zaprosić?

— Czyś ty oszalał! Wszystko u ciebie bez miary: toś dopiero do zbytku był tchórzliwego serca, a teraz wpadasz w zarozumiałość. Posłuchaj mojej rady: po weselu, jak się porozjeżdżają, a książę znacznie tęsknić za siostrzanką, przyjdiesz do niego z księdzem Kantembrygiem i powiesz...

— Tra ra ra ra! A co to ja na szubienicę dekretowany³⁾, żeby w asystencyi księdza chodził? Ja wolny szlachcic przecie: nie dam sobie w kaszę napluć. *Audaces fortuna juvat timidosque repellit*⁴⁾.

¹⁾ w winie prawda (łac.).

²⁾ w poselstwie;

³⁾ skazany.

⁴⁾ Śmiałym szczęście dopomaga, bojaźliwych zaś odpędza (łac.).

Dość o tem, panie krajczy dobrodzieju: co Pan Bóg natchnie, to się zrobi; a teraz cały frasunek, że u garnca dno się pokazuje. Pozwolisz po drugi posłać?

— Nie, nie, jakem sodalis ¹⁾, ani kropli. Będzie ze mnie. Moje konie popasły, słońce nisko, a przed zachodem muszę być u JW. Sliźnia, podkomorzego słonimskiego, w interesie mojego szwagra, i tam przenocowawszy, ze świtem wracać, dla opowiedzenia się z mojego poselstwa do ciebie przed sejmikiem relacyjnym dworu nieświeskiego. Bywajże mi zdrów, kochany panie Leonie, niech Pan Bóg tobie instynktuje i nie dopuszcza na ciebie nowych szaleństw. Tylko ceremonii ze mną nie rób, trafię do moich koni.

— A jużci na progu żegnać ciebie nie będę. Niech cię Bóg prowadzi i odplaci dobroć twojego serca. Wszystkim klaniaj się ode mnie, a najwięcej pani krajczynie, mojej dobrodziejce. Kiedy mi wszyscy dobrze życzą, tem samem widać, że Bóg ze mną. Oj bieda, że u mnie nocować nie chcesz.

— Jakem sodalis, gdyby nie mojego szwagra interes, kijem byś mnie od siebie nie odpędził. Upadam do nóg twoich, panie Leonie.

— Z boleścią serca rozstaję się z tobą, panie Jerzy. Nie zapomnij za mną westchnąć czasem do Pana Boga i Najświętszej Panny, aby mi się udało: wszak my obydwaj sodalisy.

¹⁾ Sodalis Marianus — należący do stowarzyszenia, którego zasadami było nie tylko nabożeństwo do N. Maryi Panny, ale zachowanie w życiu nieskażonej prawości i czystości obyczajów.

Tak pożegnawszy się czule, pan krajczy siadł na swoją bryczkę, a pan Leon w dobrej nadziei i w wesołym humorze z dziedzińca wrócił do swojej izby. Opowiadał nam pan Jerzy za powrotem do Nieświeża to wszystko, com opisał. My się nigdy nie spodziewali, żeby pan Leon odważył się bez przygotowania wpaść do Nieświeża, jeszcze w czasie, kiedy książę siostrzenicę wydawał i kiedy listy zapraszające po całej Litwie biegały. Jakże tu było nieproszonemu przyjechać do zairytowanego na siebie gospodarza! Ale kto mógł pana Leona przeniknąć?

W dniu, w którym się miało odbyć wesele, pamiętam jak dziś, o dziewiątej z rana, po mszy św., książę siedział w sieni, dokąd mu przynieśli w kołbałce szczenięta świeżo narodzone Nepty, wyźlicy faworytnej. Książę był w złym humorze, bo nic nie mówił, tylko mocno sapał, głaszcząc sukę i jej potomstwo, i nakoniec odezwał się:

— Panie kochanku, kazałem, aby mi z Łachwy kilka łosi i dzików przywieźli na wesele chorążanki, a dotąd ich nie widać. Przyjdzie się wstydzić przed kasztelanicem trockim, że u Radziwiłła kapcański obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie; odkąd mnie pan Borowski ukrzywdził bezkarnie, za Boże stworzenie mnie nie mają. Trzeba uciekać z Litwy: bo doczekam się tego, że we własnym moim domu komornik słonimski da mi w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu do tego pomogą. Jak tylko oddam chorążankę, zaraz wyjadę do Olyki. Między koroniarzami szukać będę przyjaciół, a Litwy znać nie chcę.

I coraz mocniej zaczął sapać, a my, cośmy go otaczali, nie wiedzieli, co z sobą robić, tak nas

temi wymówkami piłował. Wtem u sieni drzwi się odmykają i wchodzi — kto? pan Leon Borowski! z miną gęstą, w kontuszu nowogrodzkim pasowym, z pasem tak litym, że aż oczy się ćmiły, i niziuteńko skłonił się przed księciem. Książę tak się zmieszał, że aż języka zapomniał w gębie. Wstał, znowu usiadł w krzesło i odezwał się w roz-targnieniu:

— Co tam słyhać, panie Leonie?

— Teraz słyhać, że dwóch wielkich głupców na Litwie.

— Kto taki?

— Jeden książę Radziwiłł, wojewoda wileński, a drugi Leon Borowski, komornik słonimski.

— Jakto! — przerwał książę, mocno zasa-pawszy.

— A tak, książę panie! Radziwiłł, że się porwał na imperatorową, a Borowski, że się porwał na Radziwiłła.

Cóż powiecie? Książę, zamiast coby się miał gniewać, zaczął się śmiać do rozpuku, a potem rzekł:

— Panie Leonie, w pana całe życie błazeń-stwa trzymać się będą! A kto waści zaprosił do Nieświeża na wesele?

— Sam się zaprosilem, książę panie; zatęskni-łem się w Słoniwie. Wykroczyłem, o tem Bóg i lu-dzie wiedzą więcej jeszcze, niż sam książę. Bij mnie, bom wart tego; ale ostrzegam, że W. Ks. Mość i ha-kami od Nieświeża mnie nie odpędzisz — i kląkł przed księciem. Książę się rozczulił, ucałował go, mówiąc:

— Panie Leonie! bądź dobrej myśli, a o tem, co minęło, nie gadajmy.

Pan Leon padł mu do nóg i rozplakał się, i my wszyscy się rozplakali; książę go podniósł i zaprowadził do stancyi, dokąd my wszyscy za nim poszli. Książę ciągle odtąd był wesoly: bo pan Leon miał dar szczególny jego rozweselać, jako i nas wszystkich. Wrócono mu Niehorełę i mundur albeński, przy dawnych względach i odtąd już ni-gdy pan Leon księciu się nie naraził. Takiego pana, któremu równego nie było i nie będzie, śmiać fran-cuscy pisarze nazywać barbarzyńcą!

